

# Strategiczne problemy nauki polskiej

**Rozmowa z prof. dr hab. Michałem Kleiberem,  
prezesem Polskiej Akademii Nauk**

**Małgorzata Dąbrowa-Szefler** – Przychodzimy do Pana Profesora nie tylko jako do prezesa Polskiej Akademii Nauk, ale także Społecznego Doradcy Prezydenta Rzeczypospolitej oraz byłego ministra nauki i informatyzacji, a więc do osoby najbardziej kompetentnej w sprawach nauki, a konkretnie – w kwestiach związanych ze strategicznymi problemami oraz perspektywami rozwoju nauki w Polsce. Chciałabym rozpocząć od kwestii finansowania nauki, zarówno od poziomu, czyli wielkości nakładów, jak i sposobów ich dzielenia. Kwestia ta niezmiennie od lat budzi ogromne emocje. W okresie, kiedy Pan Prezes był jeszcze ministrem, zostały przeprowadzone istotne zmiany zasad finansowania nauki na podstawie ustawy z 8 października 2004 r. Jedną z nich polega na tym, że minister właściwy do spraw nauki przyznaje środki finansowe jednostkom naukowym i innym uprawnionym podmiotom, po zasięgnięciu opinii właściwego organu Rady Nauki. Minister został także zobowiązany do kontroli wydatkowania tych środków. Nastąpiła zatem istotna reforma struktury instytucji decyzyjnych w sprawach nauki – likwidacja Komitetu Badań Naukowych oraz utworzenie Rady Nauki, jej komisji i zespołów. Może jednak należałoby zacząć od tego, że został utworzony Krajowy Program Ramowy, obszary strategiczne i priorytetowe kierunki badań? Wszystko to, w warunkach naszej mizerności finansowej, miało na pewno duże znaczenie. Nasuwa się więc pytanie, czy Pan Prezes, z perspektywy czasu, który minął od wspomnianych reform uważa, że wszystko tutaj już zostało rozwiązane? Czy Pańska ekipa w ministerstwie zdążyła sfinalizować cały plan reformy systemu finansowania badań? A może od tamtego czasu pojawiły się nowe okoliczności, stwarzające konieczność dalszych reform?

**Michał Kleiber** – Do wymienionych przez Panią Profesor pełnionych przeze mnie funkcji publicznych dodałbym jeszcze nieskromnie moje obecne członkostwo w Europejskiej Radzie ds. Badań Naukowych (European Research Council), ponieważ jest to dla mnie ważne dodatkowe doświadczenie, właśnie w kontekście tematu naszej rozmowy. W skład tego, pochodzącego z wyboru, 22-osobowego grona wchodzi m.in. grupa europejskich noblistów, a wszyscy członkowie to ludzie o wielkim dorobku badawczym, mający także doświadczenie w pracy w rozmaitych agencjach finansowania badań. Większość członków Rady, nominalnie Europejczyków, pracowała przez wiele lat bądź pracuje do dzisiaj w Stanach Zjednoczonych. Otóż właśnie to grono przez ostatnie dwa lata zajmowało się rewitalizacją systemu finansowania badań w Europie. Nie trzeba bowiem, niestety, odwoływać się do głębokich porównań statystycznych, żeby stwierdzić, że na Starym Kontynen-

cie nauka jest obecnie nieporównywalnie słabsza niż w Stanach Zjednoczonych. Przegrzywa ona także w wyścigu o jakość badań z wieloma innymi krajami, mającymi znacznie mniejsze od nas tradycje naukowe. O Europejskiej Radzie ds. Badań Naukowych wspominał dlatego, że będę w naszej rozmowie odwoływać się także do tych doświadczeń. Wracam teraz do sedna pytania.

Moja ocena, z trzyletniej już perspektywy, zmodyfikowanego systemu finansowania badań jest następująca. Z jednej strony jestem głęboko przekonany, że zrobiliśmy wiele rzeczy racjonalnych, tworząc podwaliny pod naprawdę nowoczesny system. Z drugiej strony, nie jestem w pełni usatysfakcjonowany z osiągniętego rezultatu i dzisiaj myślę, że w polskim systemie finansowania badań niektóre rzeczy można by rozwiązać znacznie lepiej.

Na wstępie wyjaśnię, dlaczego kilka lat temu uznałem, że obowiązujący system wymaga modyfikacji. Otóż Komitet Badań Naukowych, który powstał w 1991 r., odegrał bardzo pozytywną rolę w pierwszych latach ustrojowej transformacji. Po pierwsze, był wyraźnym zaprzeczeniem poprzedniego systemu finansowania sterowanego centralnie. Po drugie, zaktywizował środowisko naukowe, wprowadził mechanizmy demokratyczne – sprawa, która na początku okresu transformacji miała fundamentalne znaczenie. KBN wykazał, że nauka w Polsce może funkcjonować inaczej. Mimo że w momencie powstawania KBN nie było mnie w Polsce, z zaciekawieniem obserwowałem ten kierunek zmian. Po powrocie z zagranicy, najpierw jako dyrektor jednego z największych instytutów Polskiej Akademii Nauk<sup>1</sup>, a później już jako minister zacząłem jednak odkrywać, że jakość tego systemu obniża się. Z różnych powodów.

Po pierwsze – smutna konstatacja! – to, co z początku było jego zaletą – system wyborów do KBN – przerodziło się w niezdrową konkurencję poszczególnych grup interesów. Jest to zapewne zjawisko normalne dla systemów wprawdzie demokratycznych, ale związanych ze stosunkowo nielicznym, znającym się nawzajem elektoratem. Mechanizm wyborczy, sprawdzający się w skali i warunkach dużego państwa, w sytuacji mniejszych grup zawodowych może prowadzić do paradoksów i w końcu do patologii.

Najpierw myślałem, że zjawisko jest incydentalne, po jakimś czasie stało się jednak dla mnie jasne, że tak nie jest. Ta nieukrywana gra interesów poszczególnych środowisk stała się stopniowo zjawiskiem nagminnym i często, w mojej ocenie, była niedopuszczalna ze względów etycznych. Po moim przyjściu do ministerstwa nabrałem pewności, że niektóre elementy oryginalnego systemu KBN-owskiego znacząco się zdeformowały. Rozpocząłem urzędowanie od poproszenia o przygotowanie zintegrowanej informacji na temat rozdziału pomiędzy jednostki naukowe wszystkich środków – na działalność statutową, granty, inwestycje itp. Niestety, korelacja między ośrodkami, z których pochodzili członkowie KBN a wielkością przyznanych środków w wielu obszarach badań (nie wszystkich!) nie odpowiadała, w moim przekonaniu, zobiektywizowanemu kryteriom jakości. Poznałem wówczas cały szereg przypadków decyzji o finansowaniu formalnie bez zarzutu, ale ewidentnie problematycznych merytorycznie.

Po drugie – po piętnastu latach funkcjonowania system tworzył ciało, które skupiało w swych szeregach jednocześnie przedstawicieli środowisk naukowych i rządowych. Bywało to źródłem paradoksów. Posłużę się przykładem: ze względu na (skądinąd skandaliczną) szczyptę środków budżetowych na badania każdego roku, kiedy okazywało się,

<sup>1</sup> Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN w latach 1995–2006 (przyjp. red.).

jaka część budżetu zostanie przeznaczona na badania, KBN wystosowywał ostry protest do rządu. Było to oczywiście zasadne, ale z punktu widzenia ministra zupełnie irracjonalne. Minister nauki podpisywał jako przewodniczący KBN ostry protest skierowany do rządu, którego był członkiem! I to się powtarzało co roku. Tymczasem, moim zdaniem, członek rządu nie może być właściwą osobą do reprezentowania środowiska naukowego, ponieważ konstytucyjnym obowiązkiem ministra jest reprezentowanie interesu swojego rządu. Dla mnie ta sytuacja była dziwna i nie do zaakceptowania. Czułem się uczonym, nigdy nie byłem związany z żadną opcją polityczną, w związku z tym sercem oczywiście byłem po stronie uczonych. Kiedy jednak szedłem na posiedzenie Rady Ministrów i słyszałem o problemach w rozmaitych dziedzinach życia społecznego – służbie zdrowia, policji, edukacji itd. – to czasami dochodziłem do wniosku, że nie mogę z czystym sumieniem reprezentować stanowiska, które jeszcze wczoraj zostało przyjęte przez ciało, któremu przewodniczę.

Sytuacja powinna być jasna – uczeni mają swoje potrzeby i argumenty na rzecz zasadności ich spełnienia, politycy zaś, świadomi swej odpowiedzialności, podejmują decyzje. Nie jest dobrze, jeżeli z systemem decyzji dotyczących pieniędzy publicznych nie łączy się jasno zdefiniowana odpowiedzialność za te decyzje. W systemie KBN-owskim nie można było się doszukać takiego odpowiedzialnego. Wydając pieniądze podatnika, trzeba mieć świadomość, że nadejdzie taki moment, w którym ktoś – wyborca, partia polityczna, parlament – zapyta, dlaczego rozwijamy takie, a nie inne badania. W 60-osobowym KBN nikt nie czuł się za takie sprawy odpowiedzialny.

To nie była sytuacja zdrowa. Podejmowanie decyzji zawsze musi się łączyć z odpowiedzialnością. Jeśli się okazuje, że polityka naukowa była zła, to decydent powinien ponieść konstytucyjną, czy choćby moralną, odpowiedzialność. Tego mi brakowało w tamtym systemie. Przychodzili do mnie różni ludzie i dziwili się, że ja jako minister finansuję w niezmiennych przez dekady proporcjach dyscypliny nowoczesne i dyscypliny ewidentnie mniej dzisiaj znaczące. A ja na to, co jest finansowane, nie miałem w istocie żadnego wpływu. Chodzi tu oczywiście o decyzje strategiczne, dotyczące obszarów badań o największym obecnie znaczeniu i o skorelowanie ich z potrzebami rozwojowymi kraju, a nie o badania poznawcze, w których wprowadzanie silnych priorytetów nie jest w ogóle potrzebne. W dyskusjach na ten temat często się zapomina, że termin „nauka” w naszych warunkach obejmuje bardzo szerokie spektrum zagadnień, zaś badania poznawcze są tylko fragmentem tej całości.

Minister oczywiście nie może się na wszystkim znać, tak więc, aby podejmował decyzje świadomie, powinien mieć u swego boku odpowiednią reprezentację środowiska uczonych. Prawidłowy system – moim zdaniem – polega na stworzeniu Rady Nauki wydającej swoje opinie we wszystkich (literalnie wszystkich) sprawach dotyczących polityki naukowej i finansowania badań. Gdyby jednak minister miał w jakiejś sprawie stanowisko odmienne od stanowiska swojej Rady, to powinien mieć prawo do zmiany propozycji Rady, pod warunkiem szerokiego publicznego uzasadnienia swego stanowiska i poniesienia za nie pełnej odpowiedzialności. I tak jest teraz w ustawie. Należy dodać, że część Rady zajmująca się badaniami poznawczymi powinna oczywiście pochodzić z wyborów środowiskowych i mieć maksymalną autonomię działania.

Gwoli sprawiedliwości muszę tu wyjaśnić, że choć taki system uważam za racjonalny, to nie ja go w istocie wprowadziłem w życie, lecz mój poprzednik. Ustawa o KBN z 1991 r.

została znowelizowana w 1999 r. – na dwa lata przed moim przyjściem do ministerstwa. Jej nowelizacja polegała m.in. na tym, że przewodniczący KBN otrzymał stanowisko ministra nauki, który miał prawo weta w odniesieniu do wszystkich decyzji KBN, pełniąc rolę trochę podobną do roli senatu w naszym parlamencie – weto powracało pod obrady Komitetu do ponownego rozpatrzenia. Żeby móc odrzucić weto, Komitet musiał jednak zebrać aż dwie trzecie głosów. Ale uczeni nie mieli tych dwóch trzecich głosów, bo konstrukcja KBN-u była taka, że do takiej większości brakowało im jednego głosu i o odrzuceniu weta *de facto* decydowała strona rządowa. Takie rozwiązanie zostało wymyślone z pełną świadomością, aby można było zawetować każdą uchwałę Komitetu. Tę sytuację zastałem, a nowelizacja tylko ją niejako potwierdziła.

Sprawa weta nie jest jednak kwestią naprawdę istotną. Po przyjściu do ministerstwa, po raz pierwszy (i zresztą jedyny) zastosowałem weto w przypadku projektu zwanego niebieskim laserem. KBN przedłożył wniosek o przerwanie finansowania tego przedsięwzięcia. Wówczas powołałem specjalny zespół do zbadania tej sprawy. Zespół przedstawił opinię, że nie byłoby to racjonalne rozwiązanie, wobec tego przedstawiłem weto, sprawa ponownie wróciła pod obrady Komitetu, który jednomyślnie poparł moją propozycję rozwiązania tej sprawy. O ile się orientuję, był to jedyny przypadek skorzystania przez ministra nauki z prawa weta, zapisanego jeszcze w poprzedniej ustawie. Innymi słowy, argumenty o pozbawieniu przedstawicieli środowiska naukowego autonomii decyzyjnej wydają mi się całkowicie niezasadne.

Ponadto system, który wprowadzono w życie za mojej kadencji, wydaje mi się w tym względzie bardziej przejrzysty od obowiązującego poprzednio. Istnieje w nim także – nieobecna poprzednio – zasada konsultowania literalnie każdej decyzji ministra, związanej z finansowaniem badań, z Radą Nauki.

Po raz pierwszy stworzyliśmy także ciało zajmujące się strategią rozwoju nauki. Wprawdzie KBN miał zapisane wśród swoich zadań, że nauką polską zajmuje się także w wymiarze długofalowym, ale – ze względu na natłok spraw bieżących, wymagających szybkiego rozwiązania – nigdy nie zajął stanowiska w kwestiach związanych ze strategią rozwoju nauki. Po prostu nie było takiego mechanizmu.

W Radzie Nauki powstała więc Komisja Polityki Naukowej, złożona z wybitnych uczonych. Jednym z jej zadań jest identyfikowanie kierunków rozwoju nauki w naszym kraju, zasługujących na priorytetowe traktowanie przy finansowaniu. To właśnie przy współpracy z tą komisją opracowałem Krajowy Program Ramowy, związany z określonymi priorytetami. Powstał także Zespół Odwoławczy – jest zdumiewające, że przez 14 lat istnienia KBN-u nie zauważono tego braku i odwołania od szczegółowych decyzji rozpatrywali ci sami ludzie, które te decyzje uprzednio podejmowali!

Jeszcze dwie sprawy. Badania, które mamy zwyczaj określać mianem podstawowych i te nazywane stosowanymi (abstrahuję tu od niedoskonałości tej terminologii) nie powinny być finansowane w taki sam sposób. W KBN-ie nie było *de facto* rozróżnienia. O wielkich, wielomilionowych projektach wdrożeniowych decydowali profesorowie, którzy często nigdy w życiu nie mieli żadnego kontaktu z gospodarką. To nieporozumienie! Tym bardziej że w dzisiejszym świecie finansowanie badań z różnych źródeł, niezbędne przy projektach mających służyć interesom gospodarczym, jest zadaniem trudnym i skomplikowanym. W związku z tym przyjęliśmy zasadę, że sposób dochodzenia do decyzji finansowych w tych dwóch przypadkach będzie inny. Polega to na tym, że część członków Rady

Nauki (w pełni wybieralnych) zajmuje się badaniami, które mają służyć wyłącznie rozwojowi samej nauki, natomiast do drugiej grupy minister nauki może dokooptować pewną liczbę osób związanych z wykorzystywaniem osiągnięć naukowych – przedsiębiorców, prawników, bankierów. W skład grupy pierwszej niejako automatycznie weszli członkowie KBN (jako że zmiany organizacyjne odbywały się w trakcie trwania kadencji), do grupy drugiej dokooptowałem finansistę – przewodniczącego Związku Banków Polskich, wybitnego lekarza-praktyka z Instytutu Onkologii, a także bardzo dobrego przedsiębiorcę-informatyka. Miałem nadzieję, że przy konstruowaniu składu następnej Rady Nauki odważnie sięgnie się po osoby związane z szeroko rozumianą gospodarką.

I ostatnia uwaga: w debatach związanych z utworzeniem Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych, ku mojej wielkiej satysfakcji, przyjęto zasadę, że Rada ma pełną autonomię, jeśli chodzi o wybór systemu podziału pieniędzy europejskich podatników i jego realizację. Z jednym zastrzeżeniem – prawo do ostatecznej decyzji ma Komisja Europejska jako ciało odpowiedzialne za realizację budżetu unijnego. Rozwiązanie w istocie identyczne z funkcjonującym obecnie u nas! Nie mam żadnych obaw – to, tak jak u nas, tylko czysto formalne zabezpieczenie przed ingerencją krytyków nie znających specyfiki badań naukowych. I nawet jeśli miałyby się zdarzyć jakaś jednostkowa interwencja ze strony Komisji Europejskiej (w co wątpię), to z pewnością nie będzie to stanowić żadnego zagrożenia dla całego systemu badań finansowanych ze środków przyznanych Europejskiej Radzie ds. Badań.

Warto przypomnieć, że programy ramowe UE dysponują dużym budżetem. Jest on dzielony za pośrednictwem procedur, które prawie wszyscy od lat krykujemy. Lista ich niedoskonałości jest długa. Jako minister nauki brałem udział w posiedzeniach Europejskiej Rady Ministrów do spraw nauki i muszę przyznać, że przez długi czas jako jedyny w tym gronie naukowców byłem także jedynym poważnym krytykiem stosowanych „regul gry”. Wszyscy inni byli „normalnymi” politykami, którzy w systemie tym nie widzieli niczego niestosownego.

Programy ramowe mają, w moim przekonaniu, dwie istotne wady. Po pierwsze, relatywnie mały budżet (około 4,5% całości budżetu UE), który stoi w jaskrawej sprzeczności z oficjalnymi deklaracjami o wielkim znaczeniu nauki dla Europy. Druga wada tych programów wydaje mi się jeszcze większa – decyzje o systemie rozdziału środków podejmowano w istocie bez udziału uczonych. I nawet jeśli na wcześniejszych etapach wypracowywania stanowisk poszczególnych rządów w konkretnych sprawach pytano zapewne uczonych o zdanie, to ostateczne stanowiska były wybitnie polityczne, dyktowane partycularnymi interesami poszczególnych krajów. Powracałem do tych zarzutów na prawie każdym posiedzeniu Rady Ministrów UE.

Jakieś trzy lata temu Komisja Europejska, wreszcie uświadamiając sobie ten problem, postanowiła część budżetu na naukę przekazać w ręce uczonych. I tak właśnie powstała Europejska Rada ds. Badań Naukowych. Do jej głównych zadań należy zagospodarowanie środków, jakie otrzymuje z budżetu Unii, ale również wypracowanie nowego, racjonalnego systemu finansowania, który – jeśli się sprawdzi – mógłby zostać wykorzystany także w innych obszarach finansowania. Rada zarządza obecnie prawie 15% europejskiego budżetu na badania. Praca i debaty nad nowym systemem trwały przeszło półtora roku. Niedawno, według nowych zasad, ogłoszony został pierwszy konkurs.

**Małgorzata Dąbrowa-Szefler** – Skoro Pan Prezes dotknął spraw unijnych, to chciałabym zapytać o środki z 6 Programu Ramowego. Z tego, co wiemy o Programie 5, to środków tych wykorzystaliśmy więcej niż wynosiła nasza składka. Czy można to samo powiedzieć o 6 PR?

**Michał Kleiber** – Niestety, nie można, nad czym ubolewam. Ale jest to ciekawy problem. Przede wszystkim muszę się zastrzec, że nie uważam, iż jedyną dobrą miarą sukcesu bądź porażki w korzystaniu ze środków unijnych na badania jest proste zbilansowanie naszego wkładu do wspólnej kasy, w formie składki i kwot, jakie udało się nam „odzyskać” w konkursach grantowych. Efekty merytoryczne wydają mi się znacznie ważniejsze. Rozumiem jednak, że patrzeć też trzeba na poziom owych „odzyskiwanych” pieniędzy – politycy są niestety skłonni patrzeć wyłącznie na to!

Otóż nie wszyscy o tym dzisiaj pamiętają. W 5 PR, do którego przystąpiliśmy jeszcze przed naszą akcesją do Unii Europejskiej, otrzymaliśmy dosyć istotne zniżki w składkach. W związku z tym udało nam się wówczas zbilansować odzyskiwanie pieniędzy w konkursach z realną kwotą, jaką włożyliśmy do wspólnego budżetu naukowego. Sprzyjał nam również obowiązujący wówczas system finansowania. W 6 PR system ten stał się dla nas mniej korzystny. Zbiegło się to z naszym przystąpieniem do Unii. Wprowadzono wówczas dwa strumienie finansowania (zresztą bardzo zasobne w środki), które dla krajów takich jak Polska okazały się mniej korzystne. Nie dość, że musieliśmy płacić pełną składkę, to znaleźliśmy się w gorszej sytuacji „strukturalnej”. Wprowadzono bowiem tzw. projekty zintegrowane, czyli duże, bardzo dobrze finansowane przedsięwzięcia badawcze, które szybko zostały zdominowane przez konsorcja naukowe, działające od wielu lat. Musimy pamiętać, że najbardziej doświadczeni uczestnicy programów ramowych mają za sobą już ponad dwadzieścia lat różnego typu współpracy. W tym okresie powstały rozmaite konsorcja z krajów tzw. Starej Unii, które współpracują dalej, bo ludzie się znają, bo mają do siebie zaufanie. I w sytuacji, kiedy projektów jest mniej, ale są większe, te silne grupy, współpracujące ze sobą od lat, zdominowały system. Słowem, mieliśmy duży problem z wchodzeniem do tych konsorcjów.

W drugim ważnym elemencie systemu finansowania też nie wypadliśmy zbyt dobrze. Dotyczył on najróżniejszych sieci doskonałości, które także zostały zdominowane przez instytucje starej Unii. Na szczęście, ten system został obecnie ponownie zmodyfikowany, co powinno być dla nas korzystne.

Ale przejdźmy do sedna sprawy. Jak wiemy, budżet całej Unii Europejskiej jest skonstruowany z wpłat krajów członkowskich. Wpłaty te, w pierwszym przybliżeniu, są proporcjonalne do PKB danego kraju. Jak więc wygląda nasz rachunek – ile płacimy i ile otrzymujemy? Polska pod względem populacji stanowi mniej więcej 8% całej Unii. Nasz wkład do PKB Unii wynosi jednak tylko około 2%. I to jest najprostszy wskaźnik naszej realnej siły w Unii Europejskiej! Ta „siła” jest faktycznie cztery razy mniejsza od wielkości populacji, co warto zresztą sobie czasem uświadomić, kiedy próbujemy w Unii forsować własne pomysły.

Proporcjonalnie tyle samo, czyli 2%, wynosi nasz wkład do budżetu nauki. Chcielibyśmy więc na początek osiągnąć taki poziom efektywności, żeby, poprzez rozmaite konkursy, z budżetu nauki UE odzyskiwać także przynajmniej 2%. Takie liczenie jest jednak mylące. Jak to wygląda naprawdę? Otóż, jeśli chodzi o liczbę zgłaszanych projektów, by-

Iliśmy w 6 PR na poziomie przekraczającym 2%. Jeśli chodzi zatem o aktywność środowiska, to udało się nam ją dosyć przyzwoicie zdynamizować. Oznacza to tyle, że wśród wszystkich wniosków te, w których uczestniczą Polacy, przekraczają 2%, co jest wynikiem dobrym, aczkolwiek, wnioskując z wielkości naszej populacji, lepiej by było, gdybyśmy osiągnęli poziom aktywności 8%. Ale skądinąd wiadomo, że aktywność uczonych bezpośrednio wynika z poziomu finansowania nauki w poszczególnych krajach, który jest z kolei związany z PKB danego kraju. Jeśli u nas poziom ten jest dużo niższy, to trudno oczekiwać, żeby nasi uczeni odnosili sukcesy proporcjonalnie do populacji. Te sukcesy będą proporcjonalne do budżetu...

**Małgorzata Dąbrowa-Szefler** – ... i liczby uczonych w stosunku do populacji.

**Michał Kleiber** – Tak, ale to się też łączy z budżetem. I teraz, jeśli chodzi o pieniądze, to w 6 PR „odzyskaliśmy” mniej więcej 1,3% budżetu nauki, co stanowi około 60% minimalnej kwoty, jaką chcielibyśmy osiągnąć. Taka jest skala naszego problemu. Ale – o czym już tu mówiłem – poziom odzyskiwanych środków nie jest proporcjonalny do wkładu, czyli owych 2%, a tak naprawdę jest proporcjonalny do budżetu przeznaczanego na naukę w danym kraju, który dopiero świadczy o sile środowiska. Czyli, mówiąc krótko, gdybyśmy teraz przeprowadzili inny rachunek, biorąc pod uwagę budżety na naukę w poszczególnych krajach, zsumowali je i zobaczyli, jaki odsetek z tego stanowi budżet Polski, to byłby to dopiero wskaźnik tego, co mamy szansę odzyskać. Dopiero gdybyśmy dokonali tego rodzaju rachunku, okazałoby się, że budżet Polski na naukę jest daleko poniżej 1%, jeśli chodzi o wkład do budżetu całej Unii. I w tym sensie wynik 1,3% jest sukcesem Polaków! Bo my robimy to lepiej, niż by wynikało z pieniędzy, jakie przeznaczamy na badania w kraju. Wszystko więc zależy od sposobu kalkulacji. Według mnie całkiem przyzwoicie dajemy sobie radę. Mamy natomiast problemy z funkcjonowaniem całego sektora badań w Polsce, bo on jest po prostu niedofinansowany i w związku z tym nie możemy oczekiwać jakichś spektakularnych sukcesów w dziedzinie pozyskiwania pieniędzy unijnych.

I jeszcze jedno wyjaśnienie w sprawie, dlaczego nie „odzyskujemy” tych 2%. Po pierwsze, nie cały europejski budżet na badania jest rozdzielany w trybie konkursowym. Jego znacząca część (na poziomie 5%) jest przeznaczana na samą organizację tego systemu, czyli na „biurokrację brukselską”, na recenzentów, na przyjazdy do Brukseli uczestników paneli ewaluacyjnych itd. Problemem jest to, że my w tej części dystrybucji środków bierzemy bardzo mały udział. Innymi słowy, pieniądze, które są do wzięcia z tej „szufladki”, wykorzystujemy znacznie poniżej współczynnika naszego wkładu do budżetu. Polacy są za mało aktywni. Zachodzą też trudności obiektywne, wynikające z faktu, że „stare kraje” dominują w unijnych strukturach.

Wracając jednak do trudności „subiektywnych”, chciałbym zwrócić uwagę na fakt, że recenzenci czy uczestnicy paneli są dobiegani na podstawie zgłoszeń z poszczególnych krajów. Istnieje wielka baza z danymi o potencjalnych recenzentach do wszystkich struktur oceniających przedsięwzięcia badawcze. Otóż Polacy, pomimo wielu zachęt, są w tej dziedzinie bardzo mało aktywni, a czasem wręcz nieobecni. To zdumiewające, ponieważ zadania te są świetnie opłacane, a poza tym udział w nich jest równocześnie skuteczną ścieżką lobbingu na rzecz naszej nauki. Być może ten stan rzeczy wynika z naszej przesadnej skromności, może z nieznamomości europejskich procedur, a może po prostu z nie-

znajomości języków? Faktem jest, że już w tym momencie tracimy część środków z „budżetu naukowego”.

Po drugie, inna, również istotna część tego budżetu jest wyłączona z dystrybucji konkursowej, ponieważ z góry została przeznaczona na finansowanie wielkich przedsięwzięć o charakterze, skali i znaczeniu ogólnoeuropejskim, takich np. jak program badań kosmicznych, w którym jesteśmy niedostatecznie reprezentowani, czy badania prowadzone w tzw. instytutach Joint Research Center – tj. Wspólnotowego Centrum Badawczego. Składa się na nie osiem instytutów, które prowadzą badania wspomagające politykę Unii Europejskiej w zakresie meteorologii, energetyki, epidemiologii, nowych materiałów, trzęsień ziemi itd. Polaków tutaj także mało widać. Wprawdzie instytuty te są zlokalizowane w starych krajach Unii Europejskiej, ale o pracę w nich starać się mogą kandydaci ze wszystkich państw członkowskich. Wymienione obszary finansowania unijnego stanowią kilkanaście procent budżetu, w których nasz udział jest bardzo mały. Nie pozostaje to bez wpływu na ogólny bilans wykorzystania przez Polskę tych środków.

I ostatnia sprawa. W projektach, w których bierzemy udział, jesteśmy bardzo „tani”. W projektach unijnych statystycznie połowę kosztów pochłania fundusz płac. Tymczasem kwota przeliczeniowa, przypadająca na polskiego profesora, jeszcze w 6 PR wynosiła około 1 tys. euro, podczas gdy np. stawka przeliczeniowa przedstawiciela francuskiego przemysłu wynosiła 11 tys. euro. Co oznacza, że za podobny projekt otrzymujemy pięć razy mniej pieniędzy niż Francuzi!

Problem ten poruszałem wielokrotnie na posiedzeniach Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych, tłumacząc, że w tych warunkach kraj taki jak Polska nigdy nie uzyska środków adekwatnych do swojego potencjału. Moi polemici odwoływali się do argumentu, że takie stawki wynikają z poziomu polskiego PKB, który z kolei wpływa na wysokość naszej składki do europejskiej kasy. Ale wywalczyliśmy już zmianę tego systemu – obecnie przeliczeniowa stawka wynagrodzenia jest znacznie wyższa niż poprzednio.

**Małgorzata Dąbrowa-Szefler** – Interesuje nas sprawa struktury instytucjonalnej całego systemu nauki w Polsce i jej planowanych przekształceń. Przygotowywane są bowiem rozwiązania prawne, które mają powołać do życia nowe instytucje: Narodowe Centrum Badań i Rozwoju oraz agencje finansowania badań. Jakie miejsce w tym zmodyfikowanym systemie zajmą Polska Akademia Nauk, jednostki badawczo-rozwojowe i szkoły wyższe, chociaż funkcjonują one według częściowo odmiennych reguł?

**Michał Kleiber** – Dostrzegam potrzebę dalszej pracy nad systemem. Nauka dzisiaj zmienia się niezwykle dynamicznie i nie wyobrażam sobie, byśmy wprowadzili system, który przetrwa choćby 15 lat, tak jak to było w przypadku systemu poprzedniego, KBN-owskiego. Jestem natomiast zwolennikiem zmian spokojnych, żeby każdej nowelizacji prawa dać możliwość sprawdzenia się w praktyce. Uważam też, że obecny system mógłby jeszcze z powodzeniem funkcjonować przez np. dwa lata, ale rozumiem, że polityka ma swoje prawa, więc zapewne tę nowelizację będziemy mieć wcześniej.

Nie chciałby wypowiadać się na temat JBR-ów, ponieważ nie leżą one w kompetencji resortu nauki, lecz innych, w tym głównie Ministerstwa Gospodarki, które dla ponad połowy z nich jest organem założycielskim, ale wiadomo, że trwa obecnie proces ich restrukturyzacji.



Jeśli chodzi o uczelnie, to jest to temat wymagający zupełnie innej, szerokiej rozmowy. Tutaj miałbym tylko jedną uwagę. Otóż w Stanach Zjednoczonych działa niewiele ponad sto uniwersytetów aspirujących do miana uniwersytetów badawczych. W Polsce istnieje ponad czterysta uczelni, z których znakomita większość występuje do ministerstwa z wnioskami o pieniądze z budżetu na badania! Pomijam tu stronę dydaktyczną działalności szkół wyższych, pozostają tylko przy kwestii badań. Otóż taka atomizacja środków na badania wydaje mi się zjawiskiem wadliwym. Jedynym sposobem, by zapanować nad tym żywiołem byłoby tworzenie konsorcjów, które cały ten proces jakoś by koordynowały. W każdym razie finansowanie badań w np. trzystu polskich jednostkach uczelnianych bez wyraźnej konsolidacji wysiłków wydaje mi się niecelowe. I nie chodzi tu o jakieś likwidacje, bo to inna sprawa, ale o konsolidację naukową.

Jeśli chodzi o Polską Akademię Nauk, nie waham się powiedzieć, że niezależnie od daty swoich narodzin potrafiła ona przetrwać trudne okresy w historii i dzisiaj prowadzi badania należące, o czym jestem w pełni przekonany, do najlepszych w Polsce. Mógłbym na to podać wiele przekonujących przykładów.

Kiedy byłem dyrektorem Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN, ogłoszono pierwszy konkurs na centra doskonałości. Konkurs był oceniany przez instytucje europejskie i całkowicie od nas niezależny. Otóż na dziewięć centrów doskonałości w Polsce, siedem było instytutami PAN. Wcale nie chcę przez to powiedzieć, że siedem dziewiątych polskiego potencjału naukowego skupia PAN, bo przecież tak nie jest. Ale chciałbym zauważyć, że na pewno grupuje ona znaczącą część najlepszego potencjału polskiej nauki. Wynika to zapewne z uwarunkowań historycznych, częściowo z faktu, że nie ma tam dydaktyki, ale jest to w naszych warunkach instytucja niewątpliwie naukowo bardzo silna. W związku z tym wszystkie pomysły rewolucyjnych zmian w strukturze placówek PAN mogą się okazać dramatycznie szkodliwe. Co oczywiście nie oznacza, że w tej instytucji nie należy dokonać stopniowo wielu, często gruntownych zmian.

Mam oczywiście pewien konkretny plan dotyczący placówek PAN. Nie chcę w tej chwili wchodzić w jego szczegóły, ponieważ sprawy restrukturyzacji są w toku, a ważne negocjacje trwają.

**Adam Gaikowski** – Innymi słowy, jest Pan Prezes w tej chwili w trakcie precyzowania własnej wizji Akademii i jest to wizja nieustannie konfrontowana z poglądami zwolenników innych koncepcji. Ale PAN z pewnością jakiejś reorganizacji ulegnie, czy mógłby Pan Prezes coś jednak z tej wizji ujawnić?

**Michał Kleiber** – Jeśli chodzi o placówki, to niewątpliwie musi nastąpić pewna konsolidacja uprawianej tematyki – zarówno w obrębie poszczególnych instytutów, jak i pomiędzy nimi. Powinien także ulec zmianie sposób zarządzania placówkami, który generalnie wydaje się nie spełniać wymogów dzisiejszych czasów (są od tego na szczęście liczne pozytywne wyjątki!). Trzeba pamiętać, że instytuty są dzisiaj w dużym stopniu w merytorycznym władaniu korporacji. A członków korporacji wybiera się nie za ich talenty menedżerskie, tylko za osiągnięcia dokonane często w bardzo wąskich dyscyplinach, które mają niewiele wspólnego z codziennymi problemami funkcjonowania placówek naukowych. W związku z tym otwarcie tego systemu w taki sposób, ażeby dopuścić do zarządzania znaczenie szersze grono, wydaje się ze wszech miar wskazane.

Placówki nie powinny być według mnie „własnością” Akademii w tym sensie, że ona o wszystkim decyduje. Dobrym wzorcem dla rozwiązań w PAN-ie mogłyby być niemieckie instytuty Towarzystwa Maxa Plancka. Działa tam senat, który decyduje o losach poszczególnych placówek. W senacie, obok wybitnych uczonych, zasiadają przedstawiciele ministerstwa, władz lokalnych, organizacji pozarządowych zajmujących się finansowaniem badań itd.

W polskich warunkach widziałbym potrzebę wprowadzenia koordynacji funkcjonowania instytutów PAN-owskich przez gremia mające w swych szeregach wszystkich interesariuszy nauki w kraju, czyli niewątpliwie członków korporacji Akademii, ale także przedstawicieli Ministerstwa, a zwłaszcza jego organu – Rady Nauki. Istotny byłby głos Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich oraz przedstawicieli Polskiej Akademii Umiejętności i Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Wszyscy ci potencjalni członkowie zarządu placówek PAN stanowią ważną reprezentację nauki i poszczególne placówki powinny się liczyć z ich opinią.

Moja propozycja jest więc taka, żeby instytuty pozostały przy Akademii. Także dlatego, że logo PAN jest dzisiaj znakiem cennym, uznanym i znaczącym. Ponadto sytuacja własnościowa wielu instytutów jest bardzo skomplikowana i próba dokonania zmiany organu założycielskiego, co jest częścią jednej z koncepcji, byłaby bardzo trudna do zrealizowania. Rozciągnęłaby się na wiele lat i poczyniła niemało szkód w działalności naukowej placówek. Tak więc, moim zdaniem, instytuty powinny pozostać w Akademii, ale koordynacja ich działalności powinna przejść w ręce szerokiego przedstawicielstwa środowisk naukowych.

**Małgorzata Dąbrowa-Szefler** – Na grudniowej sesji Zgromadzenia Ogólnego PAN, w trakcie której wybrane zostały nowe władze Akademii, zarówno Pan Prezes, jak i Pana kontrkandydat, prof. Andrzej Kajetan Wróblewski, podkreślali potrzebę ściślejszych więzi Akademii ze szkołami wyższymi. Jak postrzega Pan Prezes możliwości, metody i formy tworzenia tych więzi?

**Michał Kleiber** – Od dawna ubolewam nad zbyt słabym powiązaniem instytutów badawczych z uczelniami, i nie jestem w tym osamotniony. Efekty współpracy są wprawdzie znacznie większe niż wielu z nas myśli, ale jesteśmy ciągle daleko od stanu zadowolającego. W związku z tym zamierzam zapytać kierownictwo wszystkich placówek Akademii o sugestie co do ich konkretnych zamierzeń i możliwości zwiększenia współpracy. Jest tu wiele opcji – poczynawszy od przechodzenia do formuły wspólnych akademijno-uczelnianych placówek przez aktywną, okresową wymianę pracowników naukowych, wspólne starania o projekty badawcze czy wspólne studia doktoranckie. Wiele z tych inicjatyw można przeprowadzić opierając się na istniejących uregulowaniach prawnych – w razie potrzeby będziemy dążyć do nowelizacji obowiązujących ustaw. Jestem także gotów na wydawanie zgody na przeniesienie się do uczelni tych placówek, które wyraziłyby taką ochotę, nie bacząc nawet na konsekwencje finansowe, np. na problem majątku trwałego. Takie rozwiązanie wydaje mi się i naturalne i racjonalne, wiele instytutów jest przecież ulokowanych na terenach kampusów uczelnianych i niejako w naturalny sposób z tymi uczelniami związanych. Nie widzę więc żadnego powodu, żeby nie były to instytuty wspólne, a w przyszłości – instytuty uczelniane, jeśli tak będzie lepiej dla polskiej nauki.

Będąc dyrektorem instytutu PAN-owskiego, przez lata negocjowałem z jedną z wielkich warszawskich uczelni możliwość otwarcia takiej szansy dla mojego instytutu. Ku mojemu rozczarowaniu, nie udało mi się do tego doprowadzić. Zdobyłem jednak przy tej okazji duże doświadczenie i mogę dzisiaj powiedzieć, że wiem, gdzie tkwią przeszkody. Jako prezes Polskiej Akademii Nauk zamierzam uczynić w tej kwestii coś naprawdę przełomowego. Jestem w tej sprawie w stałym kontakcie z Konferencją Rektorów Akademickich Szkół Polskich.

**Małgorzata Dąbrowa-Szefler** – Mówimy o społeczeństwie wiedzy i kreatywności, a tymczasem w Polsce, a także w innych krajach europejskich, obserwuje się niechęć młodzieży do podejmowania studiów (także studiów doktoranckich) w dziedzinach nauk przyrodniczych i technicznych, a zwłaszcza matematyczno-fizycznych, które stanowią podstawę postępu technologicznego. W jaki sposób pokonać tę barierę i nie dopuścić do deficytu uczonych w tych obszarach?

**Michał Kleiber** – To problem ogólrnoeuropejski, choć w Polsce występuje w szczególnym wymiarze. Uważam, że w obszarze uczelni publicznych regulatorem powinno być państwo – ma po temu stosowne instrumenty. Inaczej wygląda sytuacja na uczelniach niepublicznych – tam decyduje rynek. W interesie ogólnym leżałoby przeprowadzenie szerokiej kampanii wyjaśniającej szanse zawodowe absolwentów różnych kierunków. Jest to oczywiście tylko fragment naszego kolosalnego problemu komunikacji społecznej w zakresie problematyki rozwoju społeczeństwa wiedzy – Polacy nie uświadamiają sobie ciągle znaczenia tego terminu, dzisiaj już bardzo konkretnego. Moment uświadomienia sobie przez większość naszego społeczeństwa faktu, iż główna rywalizacja na świecie dotyczy dzisiaj umiejętności skutecznego wykorzystywania ludzkich talentów i produktów myśli tych najzdolniejszych ludzi będzie momentem przełomowym w naszym rozwoju. Nie odważyłbym się powiedzieć, czy jesteśmy już blisko tej chwili.

**Adam Gałkowski** – „Społeczeństwo oparte na wiedzy” jest dzisiaj terminem magicznym, ale czy dla wszystkich zrozumiałym? Jakie bariery widziałby Pan Prezes w dochodzeniu społeczeństwa polskiego do poziomu „społeczeństwa wiedzy” i jakie tkwią w systemie szkolnictwa jako całości, a zwłaszcza w systemie szkolnictwa wyższego.

**Michał Kleiber** – Mówiłem na ten temat wielokrotnie i przy różnych okazjach – moja obszerna wypowiedź jest także dostępna w wywiadzie na stronie internetowej Kancelarii Prezydenta RP. Ale ujmując to krótko, powiedziałbym, że żyjemy dzisiaj w świecie odmiennym od tego, jaki znamy nawet z najnowszej z historii; w świecie, w którym dynamika wydarzeń jest zupełnie niezwykła i w którym zmiany na cywilizacyjnej i gospodarczej mapie świata zapierają dech. Na przykład kraje takie jak Chiny, Brazylia czy Indie są obecnie w stanie wyprodukować wszystko to co my, tylko dużo taniej. Wniosek stąd płynie tylko jeden: musimy postawić na kreatywność, bo pieniądze ulokowane w kreatywność są najlepszym gwarantem przyszłości odpowiadającej naszym aspiracjom. Konkurencja jest bezlitosna i nie do pokonania. Musimy pamiętać, że godzina pracy w Niemczech kosztuje – założmy – 25 euro, w Polsce 5 euro, a w Chinach 0,5 euro. Oznacza to, że w Polsce potrzebna jest naprawdę gruntowna refleksja nad tym, co może być naszym prawdziwym

motorem rozwoju. Na pewno jest to szeroko pojmowana wiedza i zdolność do jej efektywnego wykorzystywania. Ale „wiedza” to bardzo ogólne pojęcie – niewątpliwie trzeba mu nadać konkretne, „nasze” znaczenie. Trudność polega także na tym, że czasy są inne niż np. 20 lat temu, a Polska jest innym krajem od tych, którym zazdrościmy sukcesów, czyli np. Finlandii czy Irlandii. Nie mamy dobrego, precyzyjnego mechanizmu, który ułatwiłby nam podejmowanie tego rodzaju decyzji strategicznych. Ale powinny one być podejmowane, ponieważ kiedy spojrzymy na statystyki, to – ku zdumieniu wielu osób – stwierdzimy, że 25–30 lat temu Finlandia, Irlandia, Hiszpania, Portugalia czy Grecja znajdowały się na zbliżonym poziomie rozwoju, a dzisiaj, w ciągu zaledwie jednej generacji, różnice między nimi zaszły kolosalne. Oznacza to, że w obecnych czasach w ciągu jednego pokolenia można dokonać gospodarczego i cywilizacyjnego skoku, kiedyś zupełnie niewyobrażalnego. Ale u podstaw takiego rozwoju zawsze leżą światłe decyzje polityczne – nie sądzę, żebyśmy w tej sprawie mogli czuć się uspokojeni.

Ażeby pomóc w spełnieniu się optymistycznego wariantu rozwoju, powinniśmy zupełnie inaczej podejść do naszych szans w tym zakresie. Po pierwsze, prowadzić szeroką działalność typu *foresight*, czyli prognozowania rozwoju nauki i techniki w szerokim kontekście uwarunkowań społecznych, po drugie, postawić na kreatywność – jednostek, grup społecznych, firm, administracji. Wydaje mi się, że to jest jedyna inwestycja gwarantująca właściwe wykorzystanie szans. Każda inna, odwołująca się np. do bardzo szczegółowych priorytetów, może się okazać zawodna – jesteśmy zbyt słabo przygotowani do prowadzenia tego rodzaju polityki. Z satysfakcją mogę odnotować, że zapoczątkowany przeze mnie w Ministerstwie Nauki Narodowy Program *Foresight* jest obecnie kontynuowany na szeroką skalę. I jako ciekawostkę dodam, że mój macierzysty instytut, w konsorcjum z dwiema innymi instytucjami, wygrał konkurs na realizację tego programu, a ja jestem jego głównym realizatorem. Mówię o tym zazwyczaj w tonacji nieco żartobliwej, bo wydawało mi się, że kiedy jako minister wymyślałem ten program, to będę go wprawdzie szeroko promował, ale ciężar pracy będzie spoczywał na konkretnych realizatorach, a skończyło się na tym, że to ja jestem wykonawcą...

Rozmowę przeprowadzili **Małgorzata Dąbrowa-Szefler** i **Adam Gałkowski**

Warszawa, 31 stycznia 2007 r.